LOKALNIE · OPINIA

NADWIŚLAŃSKI CAMERON. O KRÓTKIEJ DRODZE Z NOWOGRODZKIEJ NA CZERSKĄ

Jan Fiedorczuk · 5 listopada 2021



Niewiele czasu potrzebował Jarosław Gowin, aby przeistoczyć się w ostrego krytyka rządów PiS. Na tym właśnie polega „konserwatyzm mainstreamowy", proponowany przez lidera Porozumienia. Jest to „konserwatyzm", który w zależności od okoliczności może być podporą zarówno dla wizji Nowogrodzkiej, jak również i „Gazety Wyborczej" czy TVN24.

Jarosław Gowin od dłuższego czasu ewidentnie grał na rozbicie Zjednoczonej Prawicy. Poniekąd przypomina to jego losy w Platformie Obywatelskiej, gdy coraz wyraźniej podważał on przywództwo Donalda Tuska, blokując kolejne inicjatywy ówczesnego premiera. Lider Porozumienia od lat sytuował się jako konserwatywny liberał, pozbawiony jednakże ekstrawaganckich wybryków Korwin-Mikkego (vide słynny spot wyborczy Polski Razem z rozwiązywaniem muszki). Gowin starał się prezentować jako prawicowy wolnościowiec dla „normalnych ludzi" (podobną kartą kilka lat temu próbował zagrać Robert Gwiazdowski).

> Będąc wicepremierem w rządzie Zjednoczonej Prawicy, Gowin musiał jednak zrezygnować ze wszystkich pryncypiów, które tak często podnosił przed 2015 rokiem. Głosząc liberalizm, był zmuszony akceptować kolejne socjalne rozwiązania rządów Beaty Szydło oraz Mateusza Morawieckiego; będąc zadeklarowanym republikaninem, musiał głosować za rewolucją Zbigniewa Ziobro

> w sądach itd.

Sytuacja zmieniła się w 2019 roku, gdy Zjednoczona Prawica ponownie objęła ster rządów. Sukces koalicji nie oznaczał jednak sukcesu samego PiS. Jeżeli podczas wieczoru wyborczego wśród gromkich krzyków „PiS" oraz „Jarosław", ktokolwiek zdawał sobie sprawę z tego paradoksu, to był to Jarosław Kaczyński, który wyraźnie niezadowolony z wyniku wyborczego podkreślał, że trzeba przemyśleć, czemu „biało-czerwona drużyna" uzyskała zaledwie (!) 43 proc. poparcia. Powód niezadowolenia prezesa PiS był oczywisty – Zjednoczona Prawica ponownie przejmowała władzę, ale on sam tracił niepodzielną kontrolę w koalicji. Zarówno Gowin jak i Ziobro wprowadzili na tyle silną reprezentację polityczną, że mogli de facto w każdej chwili wypowiedzieć posłuszeństwo Komendantowi i wyjść z rządu, zakładając własny klub. Napięcia na linii Ziobro-Morawiecki, Ziobro-Kaczyński, Kaczyński-Gowin etc., były widoczne od dłuższego czasu i gdyby nie wybuch pandemii koronawirusa oraz wybory prezydenckie, to niewątpliwie już wcześniej bylibyśmy świadkami przesilenia politycznego. Ostatecznie to właśnie podczas wyborów prezydenckich doszło do pierwszego (jeszcze nie pełnego) przełomu, gdy Gowin wprost postawił veto wobec planów Kaczyńskiego dot. głosowania korespondencyjnego. Gowin pożegnał się z pozycją wicepremiera na kilka miesięcy, by jednak przy rekonstrukcji powrócić do rządu. Lider Porozumienia mimo podpisanej umowy koalicyjnej zdawał sobie sprawę, że czas biegnie nieubłaganie i każdy kolejny dzień przybliża de facto koniec jego kariery politycznej. Było oczywiste, że Kaczyński już nie powtórzy błędu z układania list wyborczych w 2019 roku i nie pozwoli swoim koalicjantom na uzyskanie tak silnej pozycji negocjacyjnej. Jeżeli Gowin chciał przetrwać, musiał działać.

Trzeba przyznać, że samo pole bitwy, czyli Polski Ład, Gowin wybrał rozsądnie. Forsowany pakiet rozwiązań jest od dawna krytykowany przez liberałów. Planom Morawieckiego zarzuca się, że dobiją klasę średnią i kosztem najbardziej produktywnej części społeczeństwa sfinansują rozwiązania socjalne dla elektoratu PiS. Dla Gowina-liberała był to zatem idealny punkt zaczepienia. Problemem pozostało przeprowadzenie samego natarcia, które w świetle kamer wyszło po prostu blado. Po pierwsze, Gowin sam zgodził się na rzeczony projekt Morawieckiego, publicznie się pod nim podpisując, by po kilku dniach zdać sobie sprawę z popełnionego błędu i postawić na totalną krytykę rozwiązań. Drugim mankamentem buntu Gowina był fakt, że Kaczyński ubiegł go i nie pozwolił mu wziąć udziału w głosowaniach dot. Polskiego Ładu. Dla lidera Porozumienia optymalny scenariusz zakładał bunt wobec flagowego planu PiS. Wyrzucony już po głosowaniu w Sejmie, miałby tym samym możliwość zaprezentowania się jako liberał i wolnościowiec. Jego pozycja polityczna byłaby wówczas zapewne lepsza.

CZYTAJ TAKŻE: Gowin to jedno wielkie (nie)Porozumienie

Od Kaczyńskiego do „Wyborczej"

> 17 dni – tyle potrzebował Jarosław Gowin, aby od momentu wyrzucenia go z rządu udać się do redakcji na Czerskiej, by wyznać, co go trapi.

Program Zjednoczonej Prawicy z 2015r. był programem zachodnioeuropejskiej chadecji i wiele udało się zrealizować. Strategia Odpowiedzialnego Rozwoju, ustawy o innowacyjności, moja reforma uniwersy-

tetów, walka z mafiami vatowskimi. Program 500 plus przywrócił setkom tysięcy rodzin poczucie godności – mówił były wicepremier w rozmowie z „Gazetą Wyborczą".

Lider Porozumienia dodał, że pomimo tych wszystkich sukcesów, coraz częściej do głosu dochodziły jednak „marzenia Jarosława Kaczyńskiego, by przeprowadzić populistyczną rewolucję". – W pierwszej kadencji udawało się to utrzymać w ryzach – głównie dzięki współpracy prezydenta Dudy, premiera Morawieckiego i mojej. Ale po kolejnych wyborach tamy pękły – mówił.

Cóż, słowa Gowina, delikatnie mówiąc, mijają się z prawdą. To właśnie w latach 2015-2019 obserwowaliśmy coś, co można by określić mianem „populistycznej rewolucji". To wtedy pisowski walec niepowstrzymywany przez nikogo przejechał bezlitośnie po polskim wymiarze sprawiedliwości (z krótką wyrwą w postaci sporu o Sąd Najwyższy). W pierwszej kadencji Kaczyński szedł jak tornado i Gowin nie zrobił absolutnie nic, by go powstrzymać. Nie zrobił nic, bo arytmetyka sejmowa wskazywała jednoznacznie – każdy bunt względem Komendanta prawdopodobnie będzie skutkować wyrzuceniem z rządu. Gowin mógł wybrać wierność swoim liberalnym przekonaniom, albo pozycję w rządzie. I gdy przez długie cztery lata pierwszej kadencji zachodził zgrzyt na tym polu, lider Porozumienia zawsze wybierał to drugie. Erozja obozu władzy zaczęła postępować dopiero w drugiej kadencji rządów Zjednoczonej Prawicy – wtedy, gdy Gowin dysponował bezpieczną większością w Sejmie.

Wywiad dla „Wyborczej" to oczywiście tylko pewien symbol, który pokazuje, jak krótka jest droga z Nowogrodzkiej na tę drugą stronę barykady. Wcześniej podobną ścieżką podążyli Roman Giertych, Joanna Kluzik-Rostkowska, Kazimierz Marcinkiewicz czy Paweł Kowal. Gowin obecnie opowiada każdemu, kto chce słuchać, o ciemnej stronie rządów PiS-u. A że najchętniej słuchają na Wiertniczej i Czerskiej, to tam się udał w pierwszej kolejności. Cóż, neofici tak mają.

I tak np. w rozmowie z „Super Expressem" lider Porozumienia nie zostawił suchej nitki na Telewizji Polskiej, określając ją „szczujnią, która sieje nienawiść", w rozmowie z Radiem Zet przekonywał, że nie ma żadnej konieczności, która usprawiedliwiałaby wprowadzenie stanu wyjątkowego na granicy, a z kolei w programie TVN24 zapewniał, że sprzeciwił się „zamachowi na zasadę wolność słowa", czyli nowelizacji ustawy medialnej (tzw. lex TVN). W tej samej telewizji kilkanaście dni później przekonywał również, że Polsce grozi polexit (nie był zresztą jedyny – całkiem niedawno poseł Michał Wypij, po sześciu latach w Zjednoczonej Prawicy, stwierdził dokładnie to samo). Nie trzeba jednak śledzić medialnych wystąpień wicepremiera – wystarczy zajrzeć na jego profil w serwisie Twitter, gdzie z godną podziwu werwą angażuje się w antypisowską krucjatę opozycji. Gowin krytykuje obecnie zarówno politykę zagraniczną rządu, politykę wewnętrzną, jak również i politykę gospodarczą. Można naiwnie zapytać – co zatem przez tyle lat robił u boku Jarosława Kaczyńskiego? Wszak PiS nie przeistoczył się w ciągu kilku tygodni w nieprzewidywalną bestię. Wprost przeciwnie, można zaryzykować tezę, że to właśnie obecnie rządzący popadli w sidła imposybilizmu.

Nadwiślański Cameron

Kilka miesięcy temu w „Do Rzeczy" opublikowałem artykuł „Konserwatysta mainstreamowy", w którym opisywałem Gowina jako konserwatystę bezobjawowego. Określiłem wówczas go mianem „Camerona znad Wisły" i ostatnie wydarzenia na polskiej scenie politycznej zdają się jedynie potwierdzać moje spostrzeżenia.

> Gowin reprezentuje prawicowo-liberalny prąd typowy dla Anglosasów. Ta liberalna wizja prawicy jest ponętna i nadal cieszy się dużym poparciem wśród młodych osób (czego dowodzi choćby niegasnąca popularność środowiska skupionego wokół Janusza Korwin-Mikkego). To wizja prawicy racjonalnej, zdroworozsądkowej, umiarkowanej i nade wszystko – wolnościowej. Problemem jest jednak fakt, że doświadczenia państw Zachodu dowodzą nam, że wybór tej ścieżki w rzeczywiści oznacza powolną rezygnację z ideowych pryncypiów.

Wszak to nie Partia Pracy wprowadziła na Wyspach kulturową rewolucję w ostateczną fazę, tylko właśnie nominalni konserwatyści pod wodzą Davida Camerona, który zarzekał się, że wprowadza „małżeństwa homoseksualne" dla dobra wspólnoty narodowej (sic!).

Przykład Wielkiej Brytanii jest wymowny, ale tak naprawdę gdzie nie spojrzymy na Zachodnią Europę, to dostrzeżemy, że konserwatyści ponoszą porażkę za porażką. Prawica nominalna może wygrywać wybory i sprawować władzę, ale nie ma w niej już żadnych ambicji w sferze metapolityki. Na niwie ideowej prawica, czy u władzy czy w opozycji, przejmuje wokabularz lewicy, zadowalając się wyłącznie obroną status quo. A , czym jest status quo, ustalają liberałowie z lewicą będąc u władzy. I tak dzisiaj „mainstreamowy konserwatysta" może bronić instytucji małżeństwa i sprzeciwiać się wprowadzeniu związków partnerskich, gdyż taki mamy status quo, ale jeżeli do władzy dojdzie lewica i wprowadzi progresywne prawodawstwo w tej kwestii, to po jej upadku nasza letnia prawica nie będzie dążyć do zmian, gdyż skupi się na obronie porządku publicznego i ostatnio ustawionego konsensusu społecznego, tylko dlatego że jest on konsensusem obowiązującym w danej chwili.

Jeżeli spojrzymy na politykę Donalda Trumpa w USA, to dostrzeżemy bez trudu, że Demokraci byli zniesmaczeni jego stylem bycia oraz nacjonalistyczną i populistyczno-antymainstreamową retoryką, jednak w sferze wojny kulturowej Ameryka Trumpa nie odeszła daleko od standardów wyznaczonych przez Obamę. Również w Europie Marine Le Pen, naczelna przedstawicielka „skrajnej prawicy", ewidentnie złagodziła kurs wobec środowisk LGBT, nie mówiąc już o jej poparciu dla aborcji na życzenie.

Wątpię, by Jarosław Gowin czy inni przedstawiciele „letniego konserwatyzmu" świadomie dążyli w tym samym kierunku co Cameron. Wszak sam lider Porozumienia, jeszcze jako minister sprawiedliwości w rządzie Donalda Tuska, zdecydowanie sprzeciwiał się wprowadzeniu np. związków partnerskich. Losy liberalnej prawicy w USA, Wielkiej Brytanii czy europejskiej chadecji pokazują jednak, że droga polegająca na uzgodnieniu jakiegoś konsensusu z drugą stroną sporu, jakkolwiek na papierze prezentuje się rozsądnie, to w praktyce, w perspektywie dekad a nie miesięcy, prowadzi do kapitulacji. Lewica oraz postępowi liberałowie nie chcą żadnego kompromisu, ich nie zadowolą półśrodki. Zgoda np. na związki partnerskie nie będzie potraktowana jako wyciągnięta ręka prawicy i szansa na długotrwałe porozumienie, tylko zostanie uznana za słabość i wzięta za ideologiczny Piemont – dogodną pozycję, z której będzie można przeprowadzić dalsze natarcie. Stare przysłowie „daj palec, a wezmą całą rękę" jest doskonałym zobrazowaniem tej zasady, która rządzi Europą. Wszędzie tam, gdzie konserwatyści ustępowali postępowcom, tam liberalno-lewicowy walec zaczynał swój pochód. I tak np. najbardziej oczywistym przykładem jest choćby ponadpartyjne porozumienie w kwestii związków partnerskich, co na poziomie teoretycznym wygląda na zdroworozsądkowe rozwiązanie, w praktyce jednak otwiera furtkę dla „małżeństw homoseksualnych", skąd już jest krótka droga do adopcji dzieci przez pary jednopłciowe.

Jarosław Gowin będąc przedstawicielem liberalnej prawicy nieświadomie kroczy tą drogą. Część jego propozycji, prezentowana jako próba osiągnięcia konsensusu w najbardziej newralgicznych kwestiach, na papierze wygląda racjonalnie, jednak urzeczywistniona może prowadzić do „cameronizacji" Polski. W stosunku do samego pomysłu związków partnerskich Gowin zachowywał zawsze dystans, jednak kwestia nie tyczy się jedynie rewolucji kulturowej. Konkretnym przykładem jest choćby zeszłoroczny grudniowy szczyt, na którym zatwierdzono unijny budżet oraz Fundusz Odbudowy, jednocześnie wiążąc finanse z kwestią „praworządności". Gowin, jako prawicowiec liberalny, jednoznacznie odrzucał możliwość zawetowania ustaleń, naciskając na premiera Morawieckiego, by ten nie usłuchał podszeptów „radykałów". Efekty widzimy obecnie w postaci przeprawy PiS z KPO oraz niedawnego przesłuchania (bo ciężko to nazwać debatą) premiera Polski przez unijnych dygnitarzy. Nie siedząc w duszy prezesa Porozumienia nie sposób orzec, co naprawdę myśli. Jednak jego postawa wobec każdego krytycznego momentu rządów PiS (czy to aborcja czy też „lex TVN", czy w końcu relacje z UE) pokazują, że nie wychodzi on poza demoliberalne status quo narzucone przez Adama Michnika i telewizję z Wiertniczej.

CZYTAJ TAKŻE: Od Biedronia do Gowina jeden krok?

Podpora demoliberałów?

Po opuszczeniu Donalda Tuska w 2013 roku Gowin zaczął dryfować najpierw w stronę Zbigniewa Ziobry (co z dzisiejszej perspektywy jest trudne do uwierzenia), a następnie zawitał pod czułe skrzydła PiS. Obserwując, z jakich pozycji krytykuje on obecnie Jarosława Kaczyńskiego (wolność mediów czy Polski Ład), można wnioskować, że obecnie chce powtórzyć to zagranie, aby ostatecznie wylądować w obozie Donalda Tuska. Jego głównym problemem pozostaje fakt, że sam Tusk wcale nie jest skory do łączenia sił ze swym dawnym konkurentem. Gowin to element piwotalny, a przez to nieprzewidywalny. Dodatkowo przyjęcie Gowina do obozu „demokratów" może oznaczać dla Tuska większe straty niż potencjalne zyski. Właściwie ciężko dostrzec powód, dla którego były premier miałby zgodzić się na powrót „ministra marnotrawnego". Zwłaszcza, że Tusk ma tak dogodny pretekst do pozbycia się konkurenta w postaci jego „splamienia się" akcesem do obozu kaczystów.

Sam Gowin dysponując poparciem wahającym się na granicy błędu statystycznego, nie ma de facto żadnej siły politycznej. Jego jedyną szansą pozostają zatem ludowcy, którzy znajdują się w podobnej sytuacji jak w 2019 roku, gdy ich wejście do Sejmu było pod wielkim znakiem zapytania i każdy głos poparcia był na wagę złota. Mówiąc wprost, ostatnią szansą Gowina jest obecnie odegranie roli drugiego Kukiza. Były wicepremier może jedynie liczyć na wejście do Sejmu „na plecach" PSL-u i później ewentualnie żywić nadzieje, że obóz demoliberałów wygra wybory z PiS-em, ale będzie miał na tyle kruchą przewagę, że bez kilku posłów Porozumienia, nie będzie w stanie zbudować trwałej większości. Można się domyślać, że Gowin jako naczelny konserwatysta mainstreamowy bez mrugnięcia okiem dostarczy tych kilku brakujących głosów, umożliwiając tryumfalny pochód demoliberałów i tym samym torując drogę przyszłej kulturowej rewolucji.

fot: commons.wikimedia.org

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/nadwislanski-cameron-o-krotkiej-drodze-z-nowogrodzkiej-na-czerska/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć